

Gruzja



Dopiero dzisiejszy dzień był prawdziwym początkiem naszej samochodowej przygody. Wcześniej to był niemal wyłącznie męczący transfer z Polski do Gruzji z małym antraktem w Bułgarii. Trzy doby jazdy non stop, w tym dwie noce też za kółkiem, dały nam w kość na tyle, że nieplanowany odpoczynek u znajomych w Zugdidi był wybawieniem i wspaniałym relaksem. I dopiero dzisiaj rano wyruszyliśmy w tę naszą wymarzoną od lat kaukaską drogę z Zugdidi przez Mestię i Uszguli do Kutaisi.

Początek trasy był zupełnie nieekscytujący i poza kilkoma tunelami i dziurawymi betonowo-asfaltowymi drogami nie było nic, co mogłoby obiecać off-roadową przygodę. Dopiero po kilkunastu kilometrach zaczęliśmy wjeżdżać w wysokie góry i wówczas zaczęły się „schody”. Droga z asfaltowo-betonowo-dziurawej zamieniła się w kamienistą, szutrową i też dziurawą. Jechaliśmy wzdłuż rzeki Inguri płynącej w głębokim wąwozie, a po jakimś czasie pokazała się gigantyczna tama. Od tej pory przez następne kilkanaście kilometrów rwąca rzeka zamieniła się w ogromne, podłużne, zielone od rżęsy jezioro. Wąska i dziurawa droga biegła tuż nad przepastnym wąwozem.

W tunelach, przez które przejeżdżaliśmy, co chwilę myśliśmy samochód z pyłu, bowiem ze zdewastowanych stropów lała się woda. Wjeżdżając w tunele, w strefę cienia, przezornie zatrzymywałem się, aby przyzwyczać wzrok do ciemności, pamiętając z poprzedniego pobytu w Gruzji tabun koni, który biegł przez tunel w czasie, kiedy ja do niego wjeżdżałem. Tylko cud sprawił wówczas, że konie nie stratowały nam auta. Tym razem w jednym z tuneli, tuż za jego krawędzią,



w cieniu, odpoczywało stado krów. Ewa szybko udokumentowała ów krowi parking kilkoma fotkami. Ale nie ma co rozpisywać się na temat stad krów na drodze – to tak normalne jak rosół w niedzielę.

Jadąc pod górę po kamieniach i skalnych półkach, mijaliśmy zdezastowane wsie, opuszczone domy, a także wiszące mosty i różne konstrukcje o nieznanym nam przeznaczeniu. Co kilka kilometrów spotykaliśmy małe drewniane budki z różnymi artykułami: orzeszkami, cukierkami, wodą, napojami i papierosami. Stały tam również miski ze świeżą wodą. Ludzie jadący pod górę w skwarze, pyłe i brudzie, za parę groszy mogli się odświeżyć. Z poprzedniej jazdy tą trasą w 2007 roku pamiętaliśmy jeszcze egzotyczne stacje benzynowe w postaci krzesła, kilku kanistrów, jakichś baniaków i gościa z brodą na krześle sprzedającego paliwo. Tym razem takiego widoku już nie ujrzeliśmy.

Szczęśliwie ominęliśmy rosyjski *check-point* wojskowy na rzece Inguri koło osady Khaishi. Gruzini zrobili objazd tego posterunku. Nie wiem, czy aby utrzcę nosa *soldatom-mirotworcom*, czy z powodu robót drogowych. A może i jedno, i drugie. Tak czy inaczej, nie musieliśmy się tłumaczyć Rosjanom, dokąd i po co jedziemy.

Szosa powyżej Khaishi bywała bardzo wąska, na jeden samochód, czasami też musieliśmy jechać po drodze wykonanej na belkach wbitych pod ostrym kątem w stromą ścianę nad urwiskiem. Ewa skwapliwie dokumentowała te miejsca.

Nie była to dla nas nowość, gdyż dwa lata wcześniej przebyliśmy odcinek z Zugdidi do Mestii wynajętym samochodem, z kierowcą i przewodnikiem w jednej osobie. Był nim właśnie Badry Żwanija wspomniany na początku. To u niego w 2007 roku spędziliśmy pierwszą noc w Gruzji i doświadczyliśmy gruzińskiej serdeczności. Zugdidi było wtedy jeszcze nazywane bandyckim miastem, i nie bez powodu. Dopiero od niedawna, po objęciu władzy przez Saakaszwilego, zaczęto radykalnie walczyć z bandytyzmem i patologiami będącymi pozostałością po okresie komunizmu i wojny domowej.



Badry przyjął nas wtedy późnym wieczorem, nie mogąc znaleźć noclegu, pod swój dach, a my w zamian wynajęliśmy go na drugi dzień, aby zawiózł nas do Mestii swoim autem. Wówczas w 2007 roku mało kto odwiedzał Swanetię. Nawet w jedynym polskim przewodniku po krajach Kaukazu oraz na stronie MSZ-u opisujących Gruzję ten rejon kraju był określany jako bardzo niebezpieczny z powodu napadów i rozbojów. Minął wówczas zaledwie rok, odkąd specjalne oddziały gruzińskich komandosów – taka gruzińska Delta – po długim rozpracowywaniu rozbiły prawie całkowicie klany dotąd trzęsące Swanetię. Wcześniej rodziny te faktycznie miały tam udzielną władzę. Większość ich członków została zabita, nieliczni znaleźli się w więzieniach. Dopiero wtedy w zasadzie można było powiedzieć o przywróceniu Gruzji pełnej integralności i władzy administracyjnej na całym terytorium. Oczywiście z wyjątkiem Abchazji i południowej Osetii. Również całkiem niedawno została przywrócona władza centralna nad Adżarią, mającą aspiracje niepodległościowe.

Badry odradzał nam wtedy samotną podróż autem na polskich numerach. Dlatego kiedy nasz sterany ford bezpiecznie odpoczywał w garażu sąsiada Badrego, my razem z nim, pełniącym również rolę ochroniarza, pojechaliśmy do Mestii. To było niezapomniane przeżycie. Tym razem, latem 2009 roku, mieliśmy zrobić to sami, własnym samochodem, a dalej pokonać niesamowitą pętlę kaukaską od Mestii do Kutaisi.

Zatem wróćmy do 2009 roku...

W kilku miejscach przejechaliśmy przez pojawiające się znikąd potoki na drodze oraz niewielkie grzędzawiska. Czasami szosa strasznie pyliła i kiedy mijaliśmy się z jakimś autem, przez chwilę nie było nic widać. Przed Beczo napotkaliśmy wędrowną pasiekę dwóch pszczelarzy. Zatrzymaliśmy się, aby zrobić kilka zdjęć, po czym zostaliśmy zaproszeni na degustację miodu. Na talerz wylano nam sporo tego



przysmaku, do tego dostaliśmy trochę chlebka. Było bardzo smaczne, więc kupiliśmy litr miodu za 10 lari i pojechaliśmy dalej.

W Beczo zabrał się z nami starszy mężczyzna z ekipy budującej drogę do Mestii. Zdziwił się, że zadaliśmy sobie trud, aby się zatrzymać i przełożyć bagaże na tył, by zrobić mu miejsce. Widocznie zabieranie ludzi na okazję nie jest tam częste. Ale my postanowiliśmy robić dobre uczynki.

Do Mestii zajechaliśmy dopiero około 15.30. Odwiedziliśmy muzeum, w którym obejrzelśmy niezwykle eksponaty, m.in. stare księgi cerkiewne, niektóre pochodzące z IX wieku, oprawione w drzewo lub skórę. Niezwykle... U nas jeszcze nie było pisma, nie byliśmy nawet państwem, nie wiedzieliśmy, co to chrześcijaństwo, a tu na gruzińskiej ziemi kwitła wysoka kultura, tworzone pisane dzieła literackie, malowano piękne ikony. Każdy mały kościółek, który mijaliśmy po drodze, miał przynajmniej 1000, a może i więcej lat. A w podziemiach niejednej takiej świątyni są przechowywane od tysiąca lat krzyże, ikony, dzwony, księgi, których nie może oglądać nikt poza Swanami. To kraina jak z bajki. Jeśli ktoś oglądał film *Nieśmiertelny* z Seanem Connery'm, to sceneria z początku tego filmu jest po prostu wzięta z tych okolic. To żywa kraina fantasy.

Po skromnym obiadku w restauracji Ushba wyruszyliśmy w drogę do Uszguli, zdając sobie sprawę, że dopiero ten odcinek będzie dla nas niewiadomą. Nigdy tam nie byliśmy. Mapy, które posiadaliśmy, były jak się okazało bardzo niedokładne, natomiast ja przez pomyłkę wydrukowałem zdjęcia satelitarne tylko od Uszguli do Lentekhi. Odcinek od Mestii do Uszguli po prostu wyleciał mi z głowy. Kilka razy się pogubiliśmy i musieliśmy przejeżdżać rzekę w bród. Na jednym z rozwidleń pomogli nam odnaleźć drogę Swanowie jadący przedpotopową ruską ciężarówką. Ewa, która robiła zdjęcia, jak pokonując naszym autem potok, została wzięta przez nich na stopień ciężarówki niczym Marusia na czołg i w ten sposób przepравиła się z nimi na drugi brzeg. Widziałem, jak wielkie emocje to były dla niej,

34

Po kilku chwilach pożegnaliśmy się głośnymi klaksonami i każdy pojechał w swoją stronę.

W wielu miejscach oprócz napędu 4x4 używałem też reduktora, kiedy podjazdy i zjazdy były bardzo strome i kamieniste. Zaś w kilku miejscach w trosce o samochód i nasze bezpieczeństwo najpierw sprawdzałem, co jest za wzniesieniem lub zakrętem, aby wiedzieć, jakiego napędu użyć. Dzień wcześniej były duże opady i na drodze utworzyły się mało przejezdne bagna.

Co parę kilometrów mijaliśmy swańskie domy i słynne kamienne wieże. Wiele z nich jest opuszczonych i zrujnowanych, ale przy innych widzieliśmy też normalne życie gospodarskie. Był już wieczór, Gospodarze sprowadzali krowy z pastwisk do domów. To był fajny widok, kiedy kilku rośłych mężczyzn gnało krowy na koniach. Dla nas to byli tacy Indianie Gruzji. Grzecznie pytaliśmy, czy można zrobić zdjęcie, i nigdy nie spotkaliśmy się z odmową. Swanowie z zadowoleniem prezentowali siebie i swoje piękne konie.

Kiedy zaczęło szarzeć, wjechaliśmy na najbardziej wąski i trudny odcinek drogi. Ostatnie 7 km od miejscowości Lagurka umęczyło i nas, i auto. Było stromo i wąsko. W Lagurce zafascynował nas potężny zespół wież i zabudowań tworzących niegdyś z pewnością jeden kompleks obronny. Dzisiaj jest trochę zniszczony, ale i tak robi piorunujące wrażenie. Był to tym ciekawszy widok, że do tegoż kompleksu przez drewniany pomost pasterze pędzili krowy. Z pewnością przodkowie poganiaczy mieszkali w tychże wieżach również przed wiekami.

Swanowie do dziś żyją w systemie klanowym i najważniejsza dla nich jest więź krwi. Teren, który pokonywaliśmy, jest jednym z niewielu miejsc, gdzie klanowy system społeczny przetrwał do dziś. Jadąc swańskimi bezdrożami, czuliśmy przez skórę magię tej krainy.

Już w czasie szarówki po ostatnim ostrym podejździe ujrzeliśmy kilkadziesiąt potężnych kamiennych wież w małej dolince przy rzece, a wokół ośnieżone szczyty gór. To było Uszguli – miasto

35

jak z bajek i legend, o którym śniłem od wielu lat i o którym wiedziałem, że kiedyś do niego dotrę.

Dobre 10, a może nawet więcej lat wcześniej przeczytałem w jakimś niszowym wydawnictwie prawie nierealistyczny opis wyprawy pewnego człowieka do tej krainy i do tej nierealnej górskiej twierdzy. Dotarł wtedy do Uszguli konno. Kiedy brałem do ręki to czasopismo, moja żona Ewa w tym czasie była na zakupach czy też u fryzjera, nie pamiętam. Ja, znudzony kobiecymi sprawunkami, jak prawie każdy facet, postanowiłem wykorzystać czas praktycznie. Umiliłem go sobie lekturą, która z pewnością odmieniła życie moje i Ewy. Zafascynowany poetyckim, pełnym oparów niezwykłości opisem, jak to podróżnik zakradał się o brzasku do podziemi tysiącletnich kościołów i odkrywał tysiącletnie skarby swaneńskich wież, pomyślałem sobie, że muszę do tego miejsca dotrzeć, choćby nie wiem co. Potem były lata wojny domowej w Gruzji, potem chaos i bezprawie. Czasy nie sprzyjały... W końcu młody ambitny Gruzin patriota postanowił zmienić swój kraj. Przywrócić mu chwałę, wielkość i blask, jakim emanował wieki temu. To był Micheil Saakaszwili. Pewnie gdyby nie on, do tej pory nie pojechalibyśmy do Gruzji i nie udałoby się nam tego marzenia zrealizować.

Kiedy więc zmęczony przebytą drogą, ale niezwykle podekscytowany, ujrzałem ten widok, to najpierw przez chwilę myślałem, że śnię. Sam w to jeszcze nie wierzyłem. Przez dłuższy czas razem z Ewą milczeliśmy. Samochód stał na wysokiej górze, a my milczeliśmy i milczeliśmy, patrząc na nasze zrealizowane marzenie.

Potem, nie mogąc sobie tego odmówić, wlałem na koło zapasowe na tylnych drzwiach naszego Pajero i uniosłem kciuki w geście radości. Ewa zrobiła zdjęcie. Kiedy dziś na nie patrzę, widzę zmęczenie w swoich oczach, ale też własne szczęście.

Ruszyliśmy... Przejechaliśmy przez rzekę w osadzie i ostrym podjazdem w prawo, na reduktorze, podjechaliśmy pod znak informujący, że w osadzie jest dom gościnny. Po chwili już byliśmy w przytulnym pokoju hotelowym.

36



Z Uszguli do Lentekhi i Kutaisi

Pobyt w hoteliku zaczął się od małego nieporozumienia. Swanka, która nas przyjmowała, nie bardzo posługiwała się jakimkolwiek językiem poza swoim dialektem. Na moje zapytanie, ile kosztuje nocleg ze śniadaniem dla dwóch osób, odpowiedziała, że 60 lari. Przewrotnie postanowiłem zapłacić zaraz po rozpakowaniu auta i wówczas okazało się, że ta cena była za jedną osobę. Okazaliśmy swoje niezadowolone i głośno wahaliśmy się, czy zostać, mimo że było już ciemno. W końcu mieliśmy namiot albo wygodne spanie w aucie. Po krótkiej wymianie spojrzeń cena zeszła do 80 lari za noc ze śniadaniem za nas oboje plus 5 lari za skromną kolację.

Tę noc w Uszguli z 6 na 7 sierpnia zapamiętam długo. Musiałem wcześniej zjeść coś nieświeżego albo napiłem się czegoś trefnego, bo wiem już po drodze do Uszguli miałem sensację żołądkowe. W nocy nie zmrużyłem oka. Ewa oczywiście z powodu moich problemów też niewiele spała. Usnęliśmy dopiero, kiedy było już jasno. Ze śniadania oczywiście nie skorzystałem i wiedziałem, że tego dnia moja dieta będzie się składać głównie z wody.

Okolo 10 pojechaliśmy zwiedzać osadę. Pojechaliśmy, a nie poszliśmy, gdyż z powodu nocnej biegunki byłem bardzo słaby. Zatrzymaliśmy się pod cerkwią LaMaria na szczycie wzgórza. Świątynia ta znana jest z cudu polegającego na tym, że bardzo wielu małżonków niemogących mieć dzieci, po wizycie w niej po jakimś czasie otrzymuje dar rodzicielstwa. Obok kościoła stała też swańska kamienna wieża. Całość otoczona była kamiennym murem. Dodatkowo wewnątrz kompleksu trzeba było przejść przez kolejne

37

